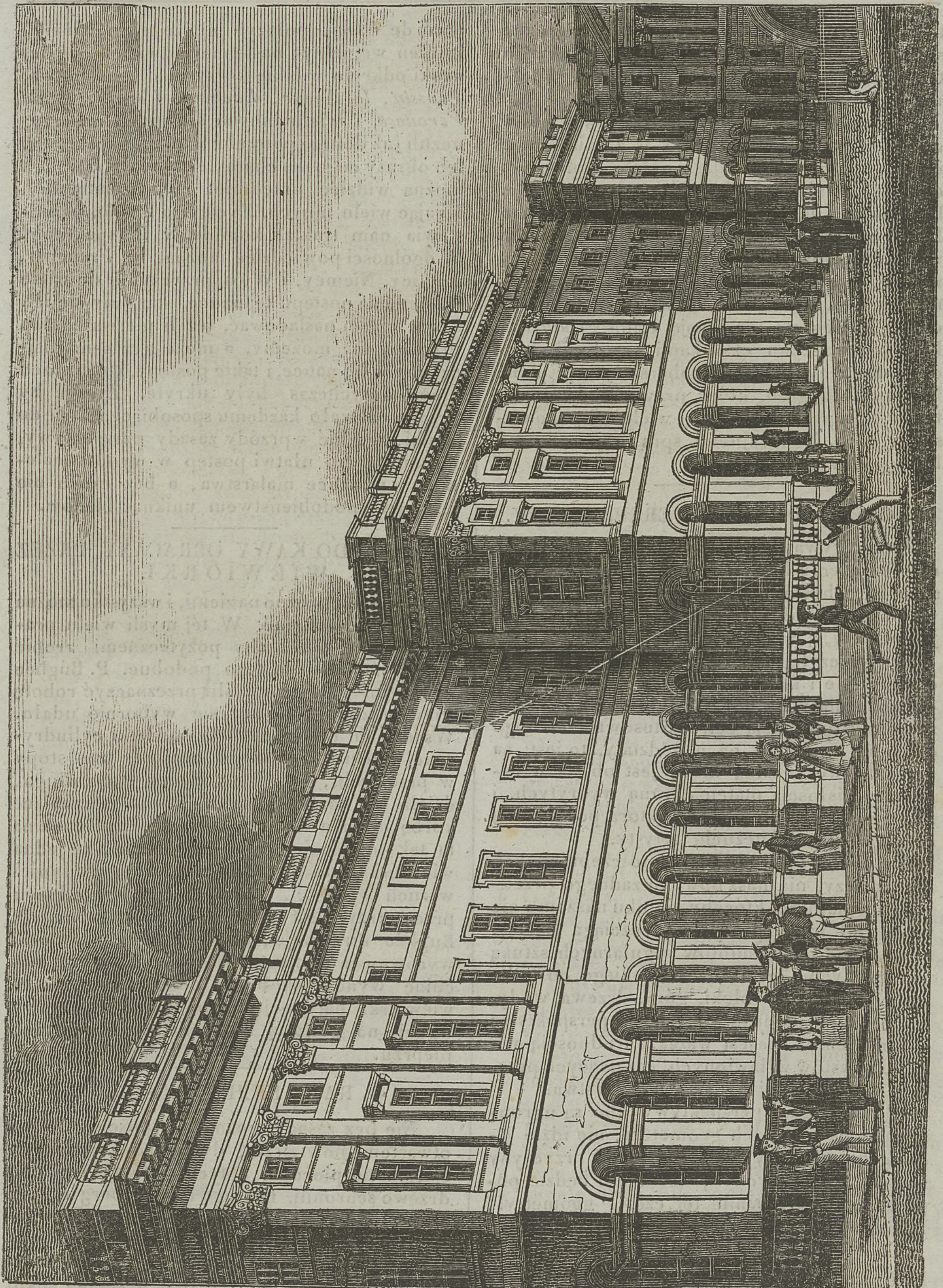


KOLLEGIUM KRÓLEWSKIE W LONDYNIE, (KING'S COLLEGE.)

Znane są dawne spory Torysów i Whigów w Anglii, które rzadko kiedy tak pięknym uwieńczyły się skutkiem jak w roku 1828, w którym Torysowie znaczne summy zapisawszy, postanowili założyć instytut naukowy mający się ubiegać z dawnym uniwersytetem Londyńskim. Pomysł ten z nadzwyczajną szybkością wykonanym został i znaczne przyniósł korzyści, gdy częścią, upadłą gorliwość w dawnym uniwersytecie ożywił, częścią uzupełnił

to, na czém tamtemu zbywało. Szczególniéj czuć się dawał w uniwersytecie brak wydziału teologicznego, który nowe Kollegium zupełnie i godnie zastąpiło.

Po ukończeniu obszernego gmachu; który co do wspaniałości i smaku w architekturze do pierwszych ozdób miasta należy, Kollegium otwarte zostało dnia 8 października; r. 1831. liczyło już uczniów stałych 930, która to liczba co rok się zwiększa. Prócz tego uczęszcza wielu dowolnie na obrane przedmioty, którzy nie opłacają rocznego wpisu, ale tylko honorarium tym professorom, których chcą słuchać. Kollegium ma swoją Radę (*council*), któréj pierwszemi członkami są: Król jako opiekun, arcybiskup Kantoberski jako Ephor, książę Wellington, który przy układaniu statutów był prezydującym, i wiele najznakomitszych osób. Zwyczajnemi sprawami instytutu kieruje biskup Londyński.

SŁÓWKO O NAUCE PERSPEKTYWY.

Perspektywą nazywamy naukę, mającą za cel rozłożenie linii i użycie kolorów w ten sposób, abyśmy wystawili na płaszczyznie wyobrażenie tak doskonałe przedmiotów, jak je widzimy w naturze.

Zarysy, czyli granice przedmiotów (contour), cieniowanie i koloryt; — są trzy rzeczy główne do uważania w perspektywie; — one złączone ze sobą uzupełniają cel. — Stosownie do tego dzielimy tę naukę na 2 oddziały, to jest: na perspektywę linialną która jest objęta w regułach ścisłością matematyczną wykrytych, i na perspektywę powietrzną, która po większéj części zależy na uczuciu artysty.

Nauka ta jest jedną z najpotrzebniejszych dla malarzy, nie masz bowiem żadnego przedmiotu w naturze, którýby się oku naszemu nie wystawiał w perspektywie; rozciąga się ona nie tylko do przedmiotów regularnych sztuką utworzonych, lecz do wszystkiego co tylko istnie w naturze. Obłoki, góry, drzewa, wody, błonia i t. p. przedstawiają także perspektywę oku naszemu. Nie jest wszakże trudnością widzieć artystów wsławionych, grzeszących przeciw prawdom téj podstawy malarstwa.

Główne zasady perspektywy lubo są ugruntowane na prawdach geometryi, nie idzie jednak zatém, ażeby malarz zgłębiał przyczyny i skutki matematyczne; dosyć mu będzie poprzestać na poznaniu téj części geometryi, która jedynie ma związek z jego sztuką.

Cofając myśl naszą do dawnych wieków, przekonywamy się że i u starożytnych ta nauka była uważaną za szczególniéj użyteczną dla sztuki. Jednakowoż podług tego co Euklides, ów sławny matematyk o niéj napisał, możemy poznać iż nauka ta nie zrobiła w téj epoce wielkiego postępu.

Kompletną teoryą perspektywy, winniśmy dopiero wiekom średnim, Albert *Durer* i Leonard de *Vinci*, położyli jéj (że tak powiemy) kamień węgielny; następne rozwijanie się téj nauki odkryło wielkie korzyści dla malarstwa. *Poussin*, *le Sueur*, *Lachire*, *Vernet*, *Paule Veronese*, i wielu innych sławnych malarzy, uczuli już dobrze potrzebę nauki perspektywy. Ich obrazy mają ten charakter prawdy, iż w nich można widzieć przedmiot niejako naturalny. Mijając wielu innych, Życie Sgo Bruno, przedstawia nam traktat kompletny Perspektywy. W ogólności powiedzieć można, że Francuzi, Anglicy, Niemcy, i Włosi przyczynili się wiele do nadania postępu téj nauce, starajmy się ich acz w części naśladować, jeżeli pierwszeństwa już mieć nie możemy, a może z czasem znajdziemy w téj nauce, i takie postępy, które przed niemi dotychczas były ukryte. Życzyć by przeto należało każdemu sposobiącemu się do sztuki, zgłębić wprzódy zasady perspektywy, co mu bardzo ułatwi postęp w wydoskonaleniu się w nauce malarstwa, a bez czego nie jest nawet podobieństwem uniknąć błędów.

MŁYNEK DO KAWY OBRACANY PRZEZ WIEWIÓRKI.

Nic nie jest próżno na ziemi, i wszystko można użyteczném uczynić. W téj myśli wielu pracowało nad tém, aby pożytecznemi zrobić rzeczy najmniéj do tego podobne. P. Bughée w Nowym-Yorku, umyślił przeznaczyć robotę wiewiórkom, i to mu się wybornie udało. Wsadza on trzy wiewiórki do klatki cylindrycznéj z drutu żelaznego, mającéj trzy stopy w przecięciu, któréj oś cztéry stopy długa, działa na małe kółka mosiężne obracające korbę młynka do kawy lub pieprzu. Machina ta tak dowcipnie jest wyrachowaną, że jedna wiewiórka może ją bez widocznéj trudności w ruch wpuścić, tak, że działanie odporu przez trzy, jest prawie niepostrzeżone. P. Bughée utrzymuje, że siła każdéj wiewiórki wyrównywa 64 funtom. Wydatek na całą machinę wynosi około 30 dolarów, żywienie wiewiórki, bardzo jest tanie, a młynek takowy wydaje na godzinę funt mielonéj kawy lub pieprzu.

RADA LICHTENBERGA.

Nie bez zasady można przypuścić, że na otwartém powietrzu, dwie trzecie zabitych zostało od pioruna, z tych, którzy się pod drzewo schronili. Dla tego Lichtenberg radził, ażeby na drzewach w polu stojących poprzybijać tablice z napisem: *Tu można być od pioruna zabitym*. Zdaje się, iż lepiéj jest zmoknąć od deszczu, aniżeli być w suchéj sukni zabitym.

WILKI I PSY.

Pomiędzy licznemi mieszkańcami lasów, wilk jest najgorzéj osławiony, i człowiek jemu najzaciętszą wojnę wydaje. Buffon zawsze

w świetnych barwach wystawiający naturę, bardzo dokładnie, niektóre tylko rysy wziąwszy, charakter wilka opisał. « Wilk, mówi on, jest zwierzem najchciwszym na mięso. Do zaspokojenia téj żądzy, dała mu natura wszelkie sposoby: jest uzbrojony, *chytry*, zwinny, silny, ma więc wszystko, co potrzeba ażeby wyszukać, napaśdź, pokonać i pożreć swą zdobycz; atoli często pada głodu ofiarą, bo człowiek wydał mu wojnę, bo go skazał na wygnanie, i za głowę jego cenę naznaczył; zmuszonym jest przeto chronić się, żyje w lasach, gdzie niektóre mieć może zwierzęta, i te ocalają się szybkością biegu; nie zdoła ich pochwycić chyba losem i cierpliwością, oczekując ich długo na przesmykach i często daremnie. Z natury jest tępy i lękliwy, ale potrzeba czyni go przebiegłym, a konieczność odważnym. Party głodem naraża się na niebezpieczeństwo, napada zwierzęta będące pod strażą człowieka, te osobliwie, które łatwo mu unieść: baranki, małe pieski i koziełki; i gdy wyprawa raz mu się uda, częściéj swój napad powtarza. Dopiero ranny i wypędzony przez psy albo przez ludzi, chroni się na dzień do swojéj jamy, w nocy z niéj tylko wychodzi, obiega pola, krąży koło budynków, chwyta zostawione zwierzęta, napada obory, podkopuje się pod ściany, wpada wściekły, a zaczem wybierze zdobycz i uniesie, wszystko wprzód szarpie i dusi. Jeśli mu się podobne wyprawy nie udadzą, wraca w głąb' lasów, szlakuje, idzie za tropem, ściga zwierzęta w *nadziei*, że je wilk inny w ucieczce pochwyci, i z nim zdobycz podzieli. Nakoniec, gdy go ciężka znagli potrzeba, rzuca się na dzieci, kobiety, a nawet na mężczyzny, a w ostateczności wścieka się i tak życie zakończa. »

Zaiste, jest to obraz żywy, wymowny i dobrze zdaje nam się oddany raczéj dla wykazania odwagi wilków, aniżeli dla oskarzenia ich o lękliwość. Prawda, że Buffon starał się tu mówić o wilku, którego konieczność zmusza wyjść z lasu, i puścić się na wszelkie przygody. Ale dla czegoż wilk syty, nie naglony głodem, miałby się ważyć na nie potrzebne niebezpieczeństwa, ażeby jak ów rycerz średnich wieków, dawał tylko dowody swojéj odwagi? Wilk lęka się tylko tam, gdzie widzi liczne niebezpieczeństwa. Kiedy się ujrzy złowionym, gdy jego instynkt jasno przewiduje los, jaki go czeka, wtedy bez wątpienia już sobie nie ufa, i wtedy całego trwoga ogarnia. Tymczasem to wyjątkowe położenie, nie dowodzi jeszcze jego tchórzostwa, bo jak powiedziano: nie masz odważnych zwierząt tam, gdzie człowiek panuje.

Co do chytrości, którą wilkowi przyznaje, Buffon sam jest z sobą w sprzeczności, gdy mówi, iż tenże w lesie znajduje tylko niektóre zwierzęta, które się przed nim szybkością biegu schraniają, i że te tylko za pomocą losu lub cierpliwości chwyta, długo i często daremnie czatując. Wszystkie podobne wieści o przebiegłości wilków zdają się tylko od nieświadomych pasterzów pochodzić, którzy postrzeżony jakowy wypadek, falszywie i niedokładnie opowiadać go zwykli. To samo powiedziéć można o *nadziei* przez Buffona wilkom przyznanéj, bo gdyby tak było istotnie, wilk równałby się z człowiekiem, który sam jest zdolny mieć nadzieję, bo jemu tylko dał Bóg władzę myślenia i przewidywania.

Wiadomo że mimo dość uderzającego podobieństwa, wilk i pies pod względem obyczajów i nałogów, są z sobą przez instynkt antipatyczne. Nigdy nie spotkają się z sobą bez ucieczki, lub walki na zabój. Zwycięzca wilk szarpie i pożera swą zdobycz; przeciwnie pies, przestaje na samém zwycięztwie, i zabitego krukom lub innym wilkom na pastwę zostawia. Nawet co do zewnętrznych oznaków wilk i pies znacznie się różnią, głowa i forma kości, nie są sobie podobne, osada oczu jego jest skośna, i jama oczna wklęsła; oczy błyszczą mu w nocy; wyje, ale nie szczeka; ruch jego jest inny, chód jest równiejszy, chociaż prędszy, ciało daleko silniejsze, ale mniéj gibkie, szczęki i zęby grubsze, włos twardszy i mniéj gęsty.

Wilk żyje samotnie, nawet samiec z samicą mało przestaje; raz tylko przez rok w zimie i to na krótko są z sobą. Wilczyca rodzi raz we dwa lata, ciężarną jest pułczwarta miesiąca, rodzi od 5-9, szczeniąt, nigdy mniéj jak trzy; szuka do tego miejsc tajemnych i dla dzieci wygodnych, i starannie macierzyńskich obowiązków dopełnia. W ich obronie jest nieustraszoną i wściekłą. Po sześciu lub ośmiu tygodniach, małe chodzą już z matką nieopuszczając jéj, aż po roku, gdy pierwsze zęby zrucą, co następuje w szóstym miesiącu, i gdy nabiorą sił i uzbrojenia potrzebnego do ich żarłoctwa. Rosną do trzech lat, a żyją do dwudziestu, co zgodne jest z postrzeżeniem Buffona, iż u wielu gatunków zwierząt, czas rośnięcia, jest siódmą częścią całego ich życia.

Wilki schwytane za młodu łatwo się stają łagodne; ale dzika ich natura nagle powraca, gdy dójdą 18stu miesięcy lub dwóch lat. Naturalista Valmont de Bonare, chodząc po lesie blizko Poitiers, znalazł sześć wilcząt na legowisku mogących mieć po 8 dni najwięcéj, wziął z nich jednego, chował starannie, najprzód dając mu mleko, potém mleko z chlebem, później rosół. Wilczek podrósł, a starannie przez pana pieszczony, przybiegał na zawołanie, lizał mu ręce, a nawet zaczął podawać rzeczy sobie rzucone. Valmont de Bonare, sprobował raz dać mu wnętrzności z kury, wilczek nigdy nie miał większego apetytu, łasił się z nadzwykłą usilnością. Odtąd naturalista ledwo nie stał się ofiarą swoich doświadczeń, które w zwierzęciu mięsożerny obudziły charakter. Nocy następnéj Valmontowi de Bonare śniło się, iż go wilcy pożerają, obu-



(Wilki i Psy.)

dził się z przestrachu czy z boleści, i w saméj rzeczy, wilczek jego ssał mu krew z rozdartéj nogi. Pozbył się śpiesznie niewdzięcznika, i późniéj dowiedział się, iż dla dzikości, wychowańca jego wnet zabić musiano.

Ten charakter wilka tém jest straszniejszy, iż natura wielką obdarzyła go siłą. Niesie jagnię w paszczy nie dotykając niém do ziemi, i tak razem ucieka, że go pasterze dopędzić nie mogą. Mało jest psów, któreby pomyślnie walczyć z nim mogły. Ma bardzo dobry wzrok, słuch, a nadewszystko węch; szczególniéj mięso o puł mili poczuje. Ciało ludzkie bardziéj podobno lubi, niż wszystkie inne. Widziano wilki ciągnące za wojskiem, przybywające gromadami na pola bitwy, wykopujące ciała, szarpiące je z największą żarłocznością, i te same wilki nawykłe do tego okropnego pokarmu, rzucały się potém na żywych ludzi, i raczéj napadały pasterzów, kobiety i dzieci, niżeli trzody.

Ztąd wieczysta wojna dla wilków, ztąd często całe okolice zbroiły się dla ubicia kilku wilków, i wszystkie niemal rządy przeznaczają nagrody za ich tępienie. Pospolicie czynią na nich jednoczesne obławy i stawiają połapy różnego rodzaju.

To przypomina nam zdarzenie w łowieniu wilków dosyć szczególne. Wilk czaił się przez całą noc na jedną zdobycz, ostrożnie, milczkiem, zgoła po wilczemu, gdy nagle wpadł w dół przyrządzony. Wieśniak idący także przez las, trafił na tenże dół i wpadł nie lekko na poprzednika swojego, który przestraszony, do przeciwnego kąta się przytulił. Wieśniak poznał z swéj strony, że nie jest sam, i był niespokojny nie wiedząc z jakim towarzyszem los go połączył. O świcie poznaje wilka drżącego i skulonego do ziemi. W tak nieprzyjemném położeniu nie pozostało wieśniakowi nic więcéj, jak oddzielić się równie neutralnie tak daleko, jak tylko szerokość dołu dozwalała, i ze drżeniem oczekiwać skutku takiego posiedzenia. Nakoniec przechodzący wieśniacy wydobyli sąsiada na puł żywego; naturalnie że drugi towarzysz nie doznał tak życzliwéj pomocy; jednak zachowanie jego było piękne, a przynajmniéj mówiły za nim okoliczności sprawiedliwość łagodzące. Wilk nieco szkolny, jakby powiedział Lafontaine byłby dowiódł wymownie ile zasługuje na litość i dzięki; byłby to nazwał zasługą, iż wieśniakom towarzysza oszczędził, i byłby policzył na karb moderacyi i roztropność i to, co zapewne było tylko skutkiem bojaźni. Ale ten wilk nie umiał nic powiedzieć, czemby wzruszył swych sędziów, a tak rażony ze wszech stron kijmi i kamieniami, uległ losowi.

O psach późniéj umieścimy osobny Artykuł



DRZEWO UPAS NA WYSPIE JAWA.

Rząd Hollenderski posiada na południowych kończynach Azyi ogromne państwo, we wszystko od natury uposażone; rozciągające się do wielkich wysp Jawy, Sumatry, Borneo, do wysp Celeb i Moluk. Książęta, sułtani, królowie, a nawet jeden cesarz są tamże hołdownikami, i ulegają prawom tegoż rządu.

Te piękne krainy, zwane pospolicie Indiami Wschodniemi, zdobyte były przez Hollendrów na Portugalczykach i władcach miejscowych, i przez dwa wieki podlegały monopolium jednéj kompanii; Batawia stolica wyspy Jawy, która to nazwisko od matki ojczyzny otrzymała, co do budowli, okazałości i czynnych mieszkańców, z najpierwszemi stolicami równać się może; widać tam ludzi prawie wszystkich narodów z całą rozmaitością ubiorów, języka i zwyczajów. Sceny, które niegdyś cudzoziemców w czasie karnawału do Wenecyi zwabiały, widać tamże codziennie we dnie i w nocy. To wielkie miasto stało się składem towarów, rozciągającym gałęzie swoje od Stanów Zjednoczonych Ameryki, aż do Japońskiego cesarstwa.

Wszystkie te odległe posiadłości mało znane były Europie, gdy je w roku 1811 Anglia opanowała. P. Raffles gubernator Jawy, który tę wyspę zwiedził pod każdym względem,

wydał o téjże ważne dzieło w roku 1817. Wkrótce potém wyszła Historya Archipelagu Indyjskiego przez P. Crawfurd; wtenczas dopiéro dowiedziano się o ważności Jawy, któréj rozciągłość równa się dwóm trzecim Wielkiéj Brytanii, i któréj ludność około pięć milionów wynosi. Ruiny równie wspaniałe jak Rzymu i Latium, świadczą w wielu miejscach o wysokiéj starożytnéj cywilizacyi kraju. Wyspa Sumatra jeszcze obszerniejsza od Jawy, wkrótce od niéj ważniejszą być może, wyspy Moluk i Celeb są rozkosznemi ogrodami mieszczącemi się obok wybuchających wulkanów, gdzie wszystko czarujące okolice Neapolu na pamięć przywodzi; ku pułnocy wyspy Filipińskie są dla handlu europejskiego źródłem nie wyczerpaném.

Pomiędzy szczególnemi zjawiskami wyspy Jawy, najwięcéj zwraca uwagę drzewo *upas* tu w rysunku wyobrażone. Mnóstwo jest powieści o jego nadzwyczajnéj truciznie. *Foersch* chirurg wojska Hollenderskiego, wydał r. 1783 obszerną wiadomość o témże drzewie, zkąd wszystkie bajeczne o niém podania początek wzięły.

Ta okropna trucizna rosła według niego w głębokiéj dolinie, któréj zaraźliwe wyziewy niszczyły w około wszelką wegetacyą; ani na dolinie, ani na górach okólnych nie widać drzewa, krzewu ni ziółka; nie widać było ptaszka w powietrzu, ani zwierza na ziemi, ani nawet płazów, zwykle w miejscach nieczystych przebywających. W blizkości tylko leżały na gołym gruncie rozrzucone kości skazanych na śmierć, którym dozwolono probować ocalenia, szukając téj niebezpiecznéj trucizny dla cesarza Jawy. Nieszczęśliwy, który do tego się skłonił, zaprowadzony był do kapłana Malajskiego, mieszkającego o kilka mil od drzewa *upas*. Od trzydziestu lat, mówi *Foersch* wyprawił tamże wspomniony kapłan 700 osób, i ledwo 1 z 10 wracał. Do zachowania trucizny dawał im szkatułkę srebrną, albo z kości słoniowéj. Parę rękawiczek i kaptur skórzany, u którego dziury na oczy szkłem były obsadzone, uzupełniały ubior do téj wyprawy. Poczém ci na ofiarę skazani, pożegnawszy ze łzami przyjaciół, szli ku górze sobie wskazanéj, którą przeszedlszy napotkali strumień prowadzący do nieszczęsnéj doliny.

Nieprawdę całéj téj powieści starał się okazać jeden szwedzki naturalista. Późniéj doktor Horsfield opisał to drzewo jadowite na wyspie Jawa, które także na wyspie Madagaskaru i na innych miejscach dosyć jest powszechne. Mieszkańcy zowią to drzewo *anczar*. Rośnie ono bardzo obficie na wschodniéj części wyspy, ale nie tylko drzew sąsiednich nie niszczy, ale owszem rośnie w najgęstszych lasach. Pień jego nagi i prosty dochodzi 60-70 stóp. Po zaciosaniu wypuszcza z siebie sok żółtawy, którego dotknięcie jest szkodliwe. Horsfield miał wiele trudności w nakłonieniu mieszkańców, aby mu w licznych nad tém drzewem doświadczeniach, byli pomocą; ci z resztą obawiali się tylko wyrzutów na ciele, i nic więcéj.

Naturalista Rhumphius widział skutki téj trucizny r. 1650 w czasie bitwy Hollendrów. « Zaledwo, mówi, trucizna dotknęła krwi żołnierzy ranionych strzałami, wnet rozeszła się po całém ciele, sprawując nadzwyczajne gorąco, osobliwie w głowie, poczém zaraz śmierć następowała. » Dla tego na samo imię tych strzał drzeli Hollendrzy, i to zapewne przyczyniło się do szczególnych wieści o témże drzewie.

MYŚL JOHNSONA.

Gdyby ludzie nie mieli rozmaitego głosu, gdyby pismo każdego było jednakowe, ileżby nie było okropnych pomyłek i oszukaństwa; jaka zmiana w stosunkach rodzinnych, w cywilnych i handlowych układach! Ale przezorna mądrość Twórcy, przewidziała i zapobiegła wszystkiemu, przez nieskończoną rozmaitość, jaką każdego człowieka z osobna, i każde dzieło jego cudownie odznaczyła. Rozliczne rysy dają poznać we dnie każdego człowieka, brzmienie jego głosu wydaje go w ciemności, albo gdy jest oddzielony przez ciała okiem nieprzebyte; nakoniec pismo zaświadcza jego byt i jego individualność, kiedy go lądy i morza od rodziny oddalonego trzymają.

O MUZYCE.

Sztuka, utwór człowieka, ma za podstawę naturę. Nasz umysł przywłaszcza sobie jéj rozrzucone żywioły, ukształca całość i nadaje im formę. Natura podaje nam tony, kolory, ale muzyka, malarstwo, są naszą własnością. Nam służy zręczność przewyższyć śpiewaków leśnych i od nich się ucząc, otrzymywać skutki im niewiadome. Czyżyk, kos, zięba, a nawet słowik są naszemi mistrzami, ale ich głos nie jest muzyką. Przez naszę cudowną prawie organizacyą podnosimy do sztuki to, co u nich jest tylko instynktem, tak jak dzikie kwiaty przesadzając, nadajemy im piękniejsze i rozmaitsze kolory. Nasze ucho każdy ton rozpozna, i nasz organ każdy naśladować potrafi. Nasz rozum i moc kombinacyi uzupełniają dzieło i tworzą muzykę.

Ale to jeszcze nierozwięzuje pytania. Powiedziawszy, że ton muzyczny pochodzi tylko z ciał elastycznych, jeszcześmy nic nie powiedzieli. Ton pochodzi z ciał elastycznych, ale cała muzyka polega na równości drzeń; im drzenia są więcéj jednakowe i czyste, tém ton muzykalniejszy. Akkorda są tylko wynikłością drzeń zupełnie równych; gdzie wielką liczbę tychże, pomięszanych słyszymy, tam niemasz tonu muzykalnego. Uderzając np. we wszystkie razem klawisze klawikordu, wydamy ton najniemuzykalniejszy, jaki sobie wyobrazić można. Tajemnicą i duszą prawdziwéj muzyki jest numerus, tempo, równy takt, równe drze-

nia, równe ich podziały i równe współdziałanie rythmu.

Ton odbywa drogi, 1142 stóp na sekundę. Odgłos więc rozciągający się od jednego danego punktu do drugiego, musi przez pewien czas ciągle następującym rzędem tonów o nasze ucho uderzać. Kiedy żołnierze w jednéj linii na przestrzeni jednej angielskiéj mili ustawieni, na raz do pewnego przedmiotu w środku linii wystrzelą, wtedy stojąc na jednéem skrzydle, słyszymy przez 5 sekund łoskot, który coraz staje się słabszym; gdy staniemy, w środku, tedy łoskot trwać tylko będzie $2\frac{1}{2}$ sekundy, wtedy jest mocniejszy i tylko na końcu słabnie; stanąwszy przy piątéj rocie, usłyszymy w pierwszéj sekundzie łoskot podwójnie mocny, w trzech innych coraz słabszy. Gdy strzelający w zygzak ustawieni będą, usłyszymy na raz wiele wystrzałów, łoskot będzie naturalnie mocniejszy, a nawet przez pomnożenie i obliczenie zygzaków, można wydać *crescendo* i *diminuendo*. Jeżeli w środku w przyzwoitém oddaleniu ucho pionowo spuścimy, wtedy usłyszymy *jeden* mocny huk podobny do wystrzału armaty. Podobnie słychać często grzmot na morzu, materya elektryczna tworzy w chmurach takież zygzaki, i gdy słuchacz należycie jest oddalony, poweźmie też same skutki.

Odgłos najmocniejszy umiera zaraz nie rozciągając się daléj; ale tony akcentowane, śpiewane w odległém miejscu, dokładnie zrozumiéć można.

Zdaje się, iż melodya jest właściwie tylko środkiem rozsyłania tonu na przestrzeń obszerniejszą. Dla tego przekupnie uliczni nie krzyczą, ale śpiewają, aby zdala byli słyszani. Zbliżającemu się do miasteczka w dzień targowy, wrzawa ludu, śmiechy, wołania i kłutnie wydają tylko gwar przytłumiony; ale klarynet, postywę, i t. p. wyraźnie dosłyszeć można. Skrzypce kremońskie, Amorka mająca tylko ton słaby, ale miękkie brzmienią jéj strony, rozlegają się na przestrzeń, którejby nowe daleko głośniejsze skrzypce, nigdy nie mogły zapełnić. Kiedy sławny skrzypek Bootti, grał na amorce, znawcy szli na galeryą aby go lepiéj słyszeli.

Między ptakami głos słowika najdaléj sięga. W wielkich kościołach mszę śpiewaną słychać w każdém miejscu kościoła, gdy głos czytanéj choćby najmocniejszym głosem, trudno zewsząd dosłyszéć. Chatham sławny mowca angielski, chorobliwy, mający głos nader słaby, przez modulacyą głosu i zręczne tonowanie słów, był w całéj izbie słyszany i z przyjemnością słuchany; przeciwnie Burke którego mowa była ciągłym krzykiem, mimo całego talentu, nie mógł zająć uwagi słuchaczów; gdy wszedł na mownicę, członkowie udawać się musieli do mownicy.

Na niczém spełzły usiłowania tych, którzy chcieli tony z farbami równać, lubo wiele dowcipnych rzeczy w tym względzie powiedzieli. Trudno bowiem przekonać kogo, czemu głos hoboi podobniejszy ma być do koloru żółtego, niżeli głos fletu? Nawet ojciec Pastel wynalazł klawikord kolorów, który jest tylko igraszką bez żadnego użytku. Jeżeli Heydn, chcąc wyrazić powolne przejście z ciemności do światła, użył najprzód instrumentu przytłumionego, potém głos pomnożeniem mass wzmocnił, aż nakoniec wszystkie instrumenta orkiestry w jedno *tutti* połączył, że niejako grzmiały: wtedy przyznamy w prawdzie niejakie podobieństwo między harmonijném crescendo tonu, i światła; ale kto słysząc tę symfonią, nie wie o zamiarze utworcy, temu pewno wschód słońca na myśl nie przyjdzie. Niech więc muzyka działa, jako muzyka, a nie żądajmy po niéj czego innego.

Naśmiano się dosyć z kompozytorów, którzy nutami chcieli malować. Pół taktu miało znaczyć gruchanie gołębia, szestnastka galop konia, trącanie o strony, uderzanie morskich bałwanów, i t. d. Takowe materyalne naśladowanie do niczego nie doprowadzi. Gdy Beethoven w *Te Deum* na zwycięztwo, użył grzmotu armat, narobił tylko wiele łoskotu i nic więcéj. Jak układ pewnych linij przyjemność, lub odrazę sprawując, budzi w nas uczucie piękności, albo brzydoty, tak pewne równoczesne, albo następujące po sobie drżenia, pierwsze lub drugie na nas czynią wrażenie. Więcéj, najpierwsi filozofowie nie wiedzą, a kto krainę tonów z krainą kolorów chce mieszać, ten nie zna pierwszych zasad obudwu.

W stanie uczuć, głos ludzki z natury saméj do melodyi się wznosi. Przyjemne wzruszenia, wybuch gniewu, miłości, nienawiści, zemsty, nadają mowie akcentowanie, które istotę i podstawę muzykalnéj melodyi stanowi.

Ptaki których instrumentowanie daleko nie sięga, śpiewają, aby wyrazić swoje żądze, miłość, uciechy i cierpienie. Naśladując ich tony, nie odbierajmy im namiętności, która jest ich duszą.

Nawet tony natury fizycznéj, mają pewien wyraz, który rozmaicie nas wzrusza. W nocy zimowéj, gdy wichry wyją, jest to przyjemnością melancholiczną słyszeć wściekłość, albo jęczenie wiatru szumiącego na drzewach, świszczącego przez szpary. Zdaje się nieraz, iż to jest jęczenie nieszczęśliwego szukającego przytułku. Inne ludy mają jeszcze okropniejsze koncerta: głuche drżenie ziemi, wściekłość orkanów, trzask piorunny wulkanu, powodzi rzek w górzystych krajach, szum lodów, i t. p. Któż nie wie, jak dziwną harmonią wydaje morze, czyli gdy ten olbrzym w śnie spokojnym głucho tylko mruczy, czyli gdy wściekły powstawszy, wały swoje nad latarnię w Eddistone wyrzuca, skały opienia, i na mil kilka całe żniwo pożera.

Szum wiatru w lasach, niemniéj jest okropny od burzy morskiéj. Drzewa zginają się trzeszcząc, bite deszczem i wiatrem drżyć się

zdają z korzeniem. Jaka różnica odgłosu wiatru od bałwanów! ten jęczy jak duch rozpaczy, pędząc wały przed sobą; te wyją głucho, jak odgłos stu armat w jaskini. Rossini, Haendel i Beethoven naśladowali ten łoskot. Wśród wrzawy instrumentów dają oni pauzy majestatyczne, których się u natury wyuczyli. Crescendo, którego Rossini aż do zbytku używa, słyszéć można w lesie, gdy wiatr świszczy przez liście, i powoli z wytrzymanego gniewu do wściekłości przechodzi.

Instrumentem kościelnym, królem instrumentów są organy. Żaden nie zrówna im w rozmaitości mocy i objętości. Jest to syn średniego wieku, organ chrześciańskiéj muzyki. Głęboki i poważny jak wiara, nienaśledziebny w wzniosłém wrażeniu.

W roku 1824 król i królowa wysp Sandwichskich, których chrześciaństwo ledwo cokolwiek ukształciło, słyszeli po raz pierwszy organy w Westminsterskim kościele. « Byłem wtedy mówi pisarz angielski przytomnym: jeszcze mi stoi przed oczyma mały murzyn w czarnéj sukni, białéj kamizelce, gdy stał z oczyma wlepionemi w organy. Przy nim siedziała żona kolosalnéj budowy i rysów szlachetnych. Na pierwszy odgłos organu upadła z krzesła, i siedząca obok dama angielska, z trudnością mogła ją nieco uspokoić. Ile razy melodyjne akkordy zabrzmiały, tyle kroć powtórzyło się jéj zachwycenie, że nareszcie wyjść musiała z kościoła."

Pierwotne wzory organów i wszystkich dętych instrumentów, znajdujemy w rozległych jaskiniach, w które wiatr się zapuszcza, a których niezmierne otwory okropną wydają harmonią. Brzegi Cornvallis pełne są skał wydrążonych, które przed burzą wydają ton głęboki, żałobny, organom podobny. Żaden rybak nie puści się na morze, póki ten smutny odgłos słyszéć się daje. Majtek drży na okręcie, gdy go posłyszy, i ten, którego działa nieprzyjacielskie nie ustraszyły, trwoży się na głos znajomego zwiastuna. Wiadomą jest obawa wieśniaków, gdy orzeł morski, a nawet kruk, w starym dębie zakracze. Nie bez zamiaru dała natura nocnym i drapieżnym ptakom głos tyle przerażający, i gdyby kto mógł wątpić o ogólnéj harmonii w dziełach Twórcy panującéj, przekonałby się o niéj, z gruchającego gołąbka obok wrzaskliwego krakania jastrzębia, albo wesołéj piosenki zięby, obok orła głoszącego zwycięztwo.

Człowiek naśladował wszystkie rodzaje tonów, które przez uderzenie metalów, drżenie stron, przez mechanizm rury powietrznéj, i szpary wydobywać się dają. Wiatr lecący przez liście, nauczył go brząkać po stronach lutni, a echo nauczyło go, jak przez zręczne użycie deki oddźwięcznéj, tonowi który się skupia i odbija, można przydać siły i miękkości. Arfa, fortepiano i gitara są wypadkami tych odkryć.

Gitara którą muzycy dziś gardzą, jest sama w sobie małą orchiestrą. Zręczny muzyk może na niéj wygrać *trio* i *sextet*. Prawda, że mając słaby ton i mały oddźwięk, nie może czynić wielkiego wrażenia, zwłaszcza teraz, gdzie w muzyce tyle strzałów i grzmotów. Gitara, matka naszych skrzypców, a córka dawnéj lutni i greckiéj liry, równie jest łatwą do zrobienia, jak do strojenia. Każdy mający jakie uczucie muzyki, wydobędzie z niej akkordy. W samotności, jest instrumentem najpowabniejszym: ona drżąc o piersi odpowiada sercu grającego. Im bliżej jest z nią w zetknięciu, tém czulsze i mocniéjsze wywabi z niéj tony. Dudki czyli multanki między dętemi, a mandolina między stronowemi instrumentami, najmniéj mają wyrazu. U pierwszéj dech grającego długie miejsca przebywa; a pozorne, ciągłe *pizziato* mandoliny, nie palcem, ale piórem wykonywane, znanem jest powszechnie. Przeciwnie arfa, skrzypce, flet, które przez grającego są bez pośrednio *natchnione*, w zupełności uczucie jego oddają.

To samo rozumie się o gitarze. Lecz aby skutek czyniła, powinno jéj sprzyjać miejsce i okoliczności. Wieczór jesienny ciemny, lasek, na puł oświecony pokój, głęboka cisza: otóż pora, w której ten instrument mimo słabych i łagodnych tonów, najmocniéj może poruszyć. Lud półwyspu pyrenejskiego jest jedynym, który najwięcéj uczucia swoje wewnątrz odwraca, i w tém rozkosz znajduje, szczególniéj ceni gitarę. Historycy opowiadają o armii portugalskiéj, która do ucieczki znaglona, 11,000 gitar na pobojowisku zostawiła. Podczas wojny o sukcessyą, kawalerzysta wysłany na czaty, napadł na nieprzyjaciela stojącego na wedecie, gdy właśnie z nudów stroił gitarę. Poznawszy że to czynił niesfornie, wziął mu z ręki gitarę, nastroił i oddał mówiąc: « *thora es templada.* » Teraz nastrojona. W małém narzędziu, które tak duszą włada, jest zapewne ukryta moc tajemnicza.

Co do skrzypców, te są podziwem i najwyższém udoskonaleniem sztuki muzycznéj.

Do utworu tego instrumentu, którego wynalazek jest zupełną własnością człowieka, potrzebował geniusz jego wyższego wzniesienia, bo natura nie dała mu do tego żadnego wzoru. Skrzypce można uważać za ostateczną wynikłość doświadczeń wielu wieków. One łączą zalety liry, lutni, mandoliny i wioli, wad ich niemając, nadto, wielcy artyści nowych czasów, nadali im doskonałość, któréj się z razu po tak słabym i pogardzonym instrumencie nigdy nie spodziewano.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiej N. 744.